

ROK II. NR. 5—6.

CZY WIECIE?

Z CAŁEJ POLSKI.

— 8. X. b. r. zmarł w Krakowie Jacek Malczewski, najznakomitszy malarz polski obecnej doby. Zwłoki jego pochowano w Grobach zasłużonych na Skałce.

— W Paryżu nastąpiła ekshumacja prochów Joachima Lelewela, które drogą morską przez Havre i Gdynię wróciły do ojczyzny i zostały pochowane w Wilnie na cmentarzu Rossie w związku z uroczystościami 350-lecia uniwersytetu wileńskiego.

— Zmarł profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, Dr Józef Kallenbach, świetny znawca Mickiewicza.

— Główni organizatorzy Powszechnej Wystawy Krajowej, prezydent Poznania, Cyryl Ratajski, prezes Rady Głównej, i Dr St. Wachowiak, prezes Zarządu i naczelny dyrektor P. W. K., otrzymali najwyższe odznaczenia: Wielką Wstęgę orderu „Polonia Restituta".

— Pierwsza kobieta mianowana została w Polsce sędzią, p. Wanda Grabińska.

— Wydobyto na widok publiczny na Wawelu mały sarkofag ze szczątkami króla Stanisława Leszczyńskiego. Szczątki te były przed kilku laty potajemnie przywiezione z Petersburga.

— Czy wiecie, że 1 listopada b. r. przypada pierścieniowe zaćmienie słońca w Polsce widoczne tylko w zachodnich i połd.-zach. ziemiach jako zaćmienie częściowe. Dla Śląska zaćmienie zacznie się (Cieszyn) o 12 h 9 min., zakończy się o 12 h 55 m. W Warszawie zaćmienie nie będzie już widoczne. Największa faza zaćmienia obejmie 0.03 średnicy słońca, a więc bardzo niewiele, dlatego musimy dobrze je obserwować. O godzinie 13 minut 1 księżyc wstępuje w nów. 2. XI. o godz. 8 widzimy Marsa w połączeniu z księżycem o 0.5° na pn. od księżyca, 5. XI. o 12 h Saturn w połączeniu z księżycem o 5° na pn. od księżyca, 13. XI. Uran w złączeniu z księżycem o 15 h Uran o 3° na pn. od księżyca, 18. XI. Jowisz w połączeniu z księżycem o 10 h o 4° na pd. od księżyca, 23. XI. Neptun w połączeniu z księżycem o 19 h o 5° na pd. od księżyca, 27. XI. Merkury w górnem połączeniu ze słońcem, 29. XI. Merkury w połączeniu z Marsem o 16 h o 0.5° na pd. od Marsa, oraz Wenus w połącz. z księżycem o 20 h o 2° na pn. od księżyca. W listopadzie na r a n n e m niebie widzieć będziemy Merkurego krótko przed wschodem słońca (z początku aż 2 godziny) w drugiej zaś połowie listopada nie będzie widoczny; Wenus z początk. 2½ godz. przed wschodem słońca. Mars nie będzie widoczny wcale. Jowisz świeci całą noc. Saturn widoczny na zach. niebie zachodzi w 2⅓ h po zachodzie. Uran widocznym będzie w pierwszej połowie nocy. Neptun wreszcie w drugiej połowie nocy w gwiazdozbiorze Lwa.

— Gmina żydowska m. Warszawy powzięła myśl wybudowania synagogi w celu uczczenia 10-lecia odzyskania niepodległości Polski.

POLSKA A OBCY.

— Poseł polski w Stanach Zjednoczonych mianowany został ambasadorem na czas uroczystości ku czci Pułaskiego.

— Przez czas trwania Wystawy w Poznaniu Polskę odwiedziło około 300.000 cudzoziemców.

— Przy rejestracji cudzoziemców okazało się, że w Warszawie znajdują się obywatele 33 państw obcych.

— Polak, Ralf Modrzejewski, syn słynnej artystki dramatycznej Heleny Modrzejewskiej, otrzymał złoty medal imienia Johna Frieda za budowę mostów. Medal taki poprzednio otrzymali najznakomitsi inżynierowie i wynalazcy.

— Na posiedzeniu Rady Ligi Narodów Polska wybrana została ponownie olbrzymią większością głosów na członka Rady.

— Poselstwo polskie w Turcji w Angorze ma być przekształcone na ambasadę.

— Polska wybudowała własny gmach dla poselstwa w Angorze, nadto w tym roku ma się rozpocząć budowa własnych gmachów w Tokio i w Sofji.

— Ludność na terytorjum Republiki Austrjackiej wynosiła w roku 1871 — 4.56 miljona, w r. 1913 — 6.77 milj., w r. 1919 — 6.42 milj., w r. 1927 — 6.67 milj. Ubytek ogólny ludności w porównaniu z ostatnim rokiem przedwojennym wynosi 100.000 ludzi. Ludność Wiednia w 1925 zmniejszyła się o 6000 mieszkańców.

— Wśród innych krajów europejskich Polska zajmuje czwarte miejsce w przyroście naturalnym ludności. Większy przyrost posiada Związek Sowietów, Bułgarja i Rumunja dzięki znacznej ilości urodzeń. W roku 1928 wzrosła ludność Polski o przeszło ½ miljona mieszkańców.

— Konsumcja nawozów sztucznych przedstawia się następująco: w 1913 r. — 1,555.000 tonn, 1924 r. — 530.000 t., 1926 r. — 656.000, 1928 r. — 1,300.000. Jeżelibyśmy nawozili kraj, rolę jak w Danji, winnibyśmy zużywać 16 miljonów t. co podniosłoby naszą produkcję rolną o 150%. Druga fabryka związków azotowych w Mościcach pod Tarnowem na wiosnę przyszłego roku będzie oddana do użytku. Prace przygotowawcze są na ukończeniu.

WYPRAWA WILKINSA I BYRDA.

W r. 1928 wkroczył do badań nad kontynentem antarktycznym nowy, niezmiernej wagi czynnik: samolot. W tym to roku wyruszyły na wody, oblewające Antarktydę dwie wyprawy anglosaskie, a raczej amerykańskie. Pierwszą z nich była wyprawa kapitana Wilkinsa, która skierowała się na południowy Atlantyk, na południe od Ziemi Ognistej. Druga, komandora Byrda ruszyła na południowy Pacyfik, na południe od Nowej Zelandji. Obie zaopatrzone były w płatowce. Zajęły one stanowiska z dwóch stron nieznanego kontynentu: Wilkins na wyspie Deception w archipelagu Południowych Szetlandów, Byrd u stóp Wielkiej Barjery Lodowej, w miejscu, skąd przed laty wyruszył Amundsen na zdobycie bieguna południowego. Obie wyprawy miały za cel zbadać charakter obszarów, pomiędzy swemi stanowiskami położonych i stwierdzić czy znajduje się tam ląd, czy morze, oraz czy znane skrawki wybrzeża, w tych obszarach, przynależą do jednej masy lądowej, czy też tworzą szereg archipelagów.

Wilkins wykonał w grudniu 1928 potężny, 2000 km. lot z wyspy Deception na południe, nad mało znanym dotąd krajem Grahama. Dotarł do 72° szerokości południowej. Stwierdził przytem on, że kraj Grahama nie jest częścią kontynentu antarktycznego, jak dotąd przypuszczaliśmy, ale tworzy odrębny archipelag, z kilku większych i szeregu drobnych wysp złożony. Odkrycie to, pierwszorzędnej doniosłości dla geografji, dokonanem zostało w ciągu 9-godzinnego lotu. Pogoda nie pozwoliła Wilkinsowi przedsięwziąć dalszych skutecznych losów i wkrótce powrócił on do domu.

Byrd wyjechał nieco później, a pierwsze loty nad przyległym krajem Króla Edwarda VII rozpoczął w lutym 1929. Kraj ten znanym był tylko dotąd z brzegów. Kilkusetkilometrowe loty nad nim przyniosły odkrycie olbrzymich, bo 3000 m. sięgających gór w jego głębi i pewność, że łączy się on na południu z lądem bieguna południowego. Byrd, jak wiecie z gazet, przezimował w lodach antarktycznych a teraz przystępuje do nowych lotów, mających rozszerzyć dotychczasowe wyniki. Także i Wilkins powróci w tym sezonie letnim t. zn. w ciągu naszej zimy na Antarktydę celem kontynuowania rozpoczętych lotów.

Jak widzimy z tego, loty Wilkinsa i Byrda nie przyniosły dotąd rozwiązania największej zagadki antarktycznej: czy między krajem Grahama a Króla Edwarda istnieje morze czy ląd i czy ten ląd, łączy się z lądem bieguna czy nie. Rozwiązać to pytanie mogą dopiero przeloty między temi dwoma obszarami. Chodzi tu o pokonanie około 4000 km zupełnie nieznanej pustyni lodowej. Możliwość udania się więc takiego lotu istnieje przy dzisiejszych samolotach. Udany taki przelot odsłoni nam ostatnią wielką zagadkę geograficzną decydującą o rozległości i formie kontynentu antarktycznego. Zapewne też niedalecy jesteśmy od chwili, kiedy marzenia nasze się ziszczą. Śledźcież więc w dziennikach wieści, które dochodzą nas o pracach ekspedycyj polarnych na wodach antarktycznych.

S. D.

Numer podwójny — cena 1 zł. Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.
Rok II. Nr. 5—6.

NA TROPIE
PISMO MŁODZIEŻY POLSKIEJ

Najdawniejsze dzieje Poznania.

Z początkiem dziejów historycznych Polski wiąże się ściśle historja Poznania jako grodu, który obok Gniezna skupiał w sobie ośrodek religijny, państwowy i kulturalny całego Państwa. Dzieje grodu poznańskiego, dzieje miasta Poznania wymagałyby obszernego opracowania — obejmują one przecież okres prawie tysiącletni — a w każdym niemal dziesiątku lat jeżeli nie częściej przeżywało miasto i jego mieszkańcy chwile zasługujące na uwagę. Dlatego też w krótkim artykule niepodobna ogarnąć całej historji nawet jednego miasta — należy przeto dać jej część może bardziej ciekawą i bardziej zasługującą na uwagę: początkowe jego dzieje.

Jak początek wszystkich naszych najstarszych osad i grodów, tak i początek Poznania ginie w mroku epoki przedhistorycznej Istniała tam osada ludzka na długo przed epoką plemienną — wskazują na to liczne wykopaliska przedhistoryczne, znajdowane na obszarze obecnego miasta Pierwsze wzmianki historyczne o Poznaniu zjawiają się u progu naszych dziejów — a fakt, że utworzono w Poznaniu stolicę biskupią, wskazują na niepoślednie znaczenie ówczesnej osady. Była to obok Gniezna pierwsza wówczas osada państwa polskiego — osada, bo o mieście w dzisiejszym tego słowa znaczeniu, mówić jeszcze w tych czasach nie można. Nieliczna ludność mieszkała naokoło grodu książęcego i składała się w przeważnej części ze służebnych poddanych księcia. Został więc Poznań siedzibą biskupstwa — nie poznańskiego — lecz polskiego misyjnego dla całego państwa. Tu powstaje pierwszy kościół — katedra biskupia, fundowana przez Mieszka — a żona jego Dubrawka, zakłada w kilkanaście lat później kościół drugi ku czci N. M. P. I choć siedziba arcybiskupia dostała się w udziale Gnieznu, Poznań zawsze chlubić się może pierwszą katedrą ziem polskich.

Obok znaczenia religijnego odgrywa Poznań wybitną rolę w obronie państwa. W nim obok 3 innych wielkopolskich grodów koncentruje się rycerstwo polskie Bolesława Chrobrego — w Poznaniu według słów kronikarza zbierało się 1300 pancernych rycerzy i 4000 żołnierzy z tarczami. Istniejący zamek książęcy, zapewne na Ostrowie, był punktem centralnym dla zbierającego się rycerstwa. I tak za pierwszych Piastów przeżywa Poznań wraz z całem państwem chwile radości i zwycięstw — triumfy zwycięskich pokojów — chwile klęski i rozpadania się państwa — reakcję pogańską i łupieską wyprawę Czechów, które zostawiły zgliszcza i ruiny. Szczupłe wiadomości z tych czasów nie dadzą jasnego obrazu dziejów osady. Z odnowieniem całej Polski podnosi się i Poznań z gruzów. Staje się stolicą jednej z największych dzielnic państwa — Wielkopolski. Gniezno bowiem utraciło bezpowrotnie swoje znaczenie.

Jako stolica wielkiej dzielnicy — pozostawał Poznań zawsze ośrodkiem silnie jak na ówczesne czasy zaludnionym. Ściągała doń ludność i osiadała naokoło grodu po obu brzegach Warty, tworząc t. zw. podgrodzia, zawiązki późniejszych miast. A obszar ten wtedy nie był już wyłączną posiadłością księcia — część jego była biskupią własnością, część należała do kanoników katedralnych.

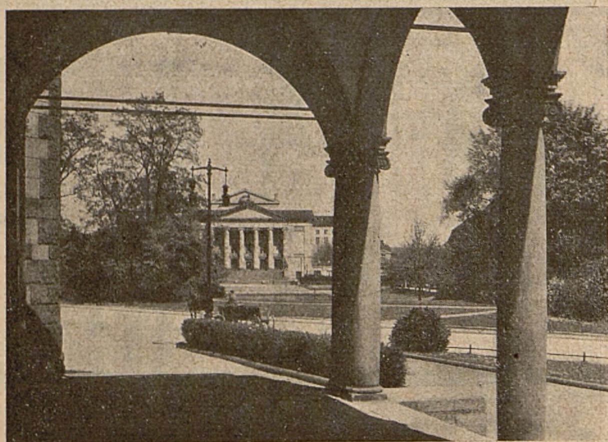


Fot. R. S. Ulatowski, Poznań.
Motyw nad Wartą.

Na tych terytorjach poczęła się skupiać ludność, tworząc parę ośrodków, z biegiem czasu wybudowano tu nowe kościoły parafjalne dla każdego z owych skupień.

Na prawym brzegu Warty obok grodu skupiło się nieco więcej siedzib ludzkich, nazwano je od topograficznego kształtu Ostrowiem. W podgrodziu tem, jak i w innych odbywano co pewien czas targi — odbywały się one tu częściej jak gdzieindziej, gdyż co tydzień, a dzień ich odbywania dał nazwę (drugą z kolei) osadzie Środka (zdrobniale Środa). W roku 1231 Władysław Odonicz założył tu klasztor Dominikanów. Tę osadę niedługo później przeniesiono na prawo niemieckie — to jest nadano jej

ustrój i formę zarządu współczesnych miast na Zachodzie Europy — głównie w Niemczech. Związane z tem było zwykle zbudowanie według regularnego planu oraz na-



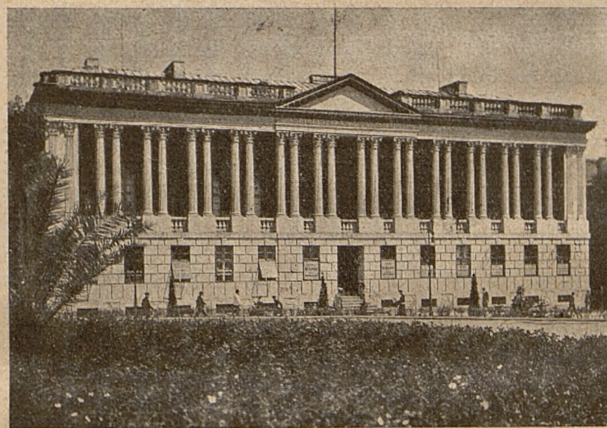
Fot. R. S. Ulatowski, Poznań.
Teatr Wielki widziany z pod arkad Collegium Minus. (Budowla niem. z XX w.)

pływ nowych osadników. W Środce topografji nie zmieniono, a nowych osadników poza naczelnikiem gminy, sołtysem Henrykiem, Niemcem, przybyłym ze Śląska chyba było niewielu.

Nieco inaczej przedstawiały się stosunki po drugiej stronie rzeki.

Na lewym brzegu Warty istniały już trzy kościoły. Obok kościoła św. Wojciecha istniała osada książęca — na południe od niej osada biskupia. Około kościoła św. Gotarda — dalej od niej na Zachód leżał kościół św. Marcina z grupującą się obok niego osadą kapitulną. W r. 1244 zachodzą tu pewne zmiany. Książę otrzymuje kościół św. Gotarda, a daje zato biskupowi swą osadę z kościołem św. Wojciecha. Istnieją więc tu już tylko dwie osady biskupia i kapitulna. Warta w XIII wieku stanowiła granicę podzielonej na dwie części Wielkopolski. Jedna jej część po lewym brzegu należała do Henryka Brodatego, ks. Śląska, druga po prawym brzegu, do Władysława Odonicza. Dlatego i na lewym brzegu stał drugi zamek na górze Przemyśla. Około połowy XIII wieku ks. Przemysł, syn Władysława Odonicza, stał się panem całej Wielkopolski — zawładnął i trzema osadami z lewego brzegu. Przemysł uczynił Poznań swą siedzibą i stolicą. Kronikarz zapisuje o nim pochlebne słowa, że odbudował on zamek i miasto. Ostatnia wzmianka dotyczyć może jedynie Śródki. W umyśle tego księcia powstaje zamiar, by uczynić Poznań miastem potężnem, dać mu podstawy i warunki rozwoju. Dotychczasowa lokacja Śródki była niewystarczającą i za pospiesznie przedsięwziętą bez planu na przyszłość. Przedewszystkiem na prawym brzegu Warty nie było miejsca dla rozwoju książęcego miasta. Okoliczne tereny były prywatną własnością. Ale i na lewym brzegu, choć tam było lepiej nieco, istniały osady biskupia i kapitulna. Przemysł powoli przystępuje do działania. Przeprowadza pertraktacje i przesiedla ludność osady swej Śródki na brzeg lewy, ludność biskupiej osady i kapitulnej na prawy. Jako odszkodowanie za poniesiony trud daje biskupowi część prawa połowu ryb i przewozu na rzece Warcie.

Śródka stała się biskupią — część jej kapitulna otrzymała miano Ostrówka (zapewne od pierwotnej, zapomnianej nazwy Ostrowa). Nowa zaś skomasowana osada po lewym brzegu otrzymuje od księcia Przemysła i brata jego Bolesława w roku 1253 przywilej lokacyjny



Fot. R. S. Ulatowski, Poznań.
Bibljoteka Raczyńskich. (Poznań, wiek XIX.)

i od tej chwili istnieje Poznań jako miasto na prawie niemieckiem. W ten sposób zakończył się pierwszy okres dziejów Poznania.

Empe.

W Kręgu Rady.

Pogoda ducha.

Czy wiecie, jak duży wpływ można wywierać na ludzi uśmiechniętą twarzą? Krótkie ale dobitne słowa powiedział o tem generał Baden-Powell w gawędzie o uszczęśliwianiu („Na Tropie" Nr. 1—2). Pogodne oblicze oddziałuje jednakże nietylko na innych, wywiera przedewszystkiem zbawienny, wychowawczy wpływ na nas samych.

Czy zauważyliście n. p., że człowiek poirytowany zaczyna chodzić prędzej? I czy próbowaliście uspokoić wzburzone nerwy przez umyślne stawianie bardzo powolnych kroków? Jeżeli nie, doświadczcie tego kiedy a przekonacie się, jak dalece można sferą zewnętrzną oddziaływać na swe usposobienie.

Podobnie jest z uśmiechem. Pogodnem uśmiechnięciem się można rozprószyć chmury swej złości, niezadowolenia i zniecierpliwienia — chwili największego zniechęcenia można dać po mordzie wesołem gwizdnięciem.

Może powiecie, że będzie to uśmiech sztuczny, a więc nieszczery. Zdaje mi się, że wystarczy szczerze c h c i e ć się uśmiechnąć, aby nadać temu uśmiechowi znamię szczerości. Każda wyższa wola jest zmuszeniem woli niższej do uległości — której woli damy więc wyraz na zewnątrz: opanowaniu się, czy drażliwości? Minie słonecznej, czy minie kwaśnej? Ta, którą uzewnętrznimy, wpłynie także na nasze wnętrze, podźwignie nas na stopień większej doskonałości.

W pogodzie ducha trzeba się ćwiczyć podobnie jak w każdej umiejętności. Być wesołym, gdy nam nic nie ciąży, to każdy potrafi — ale zachować pogodę ducha wśród przeciwności, to jest wielka sztuka i kto ją zdobył, posiada podwaliny szczęścia: ma bowiem w ręku siłę, której nie przemoże ludzka złość ani ludzka głupota.

„Oko twoje jest świecą ciała twego, jeśliby tedy oko twoje było szczere, wszystko ciało twoje jasne będzie". (Ewangelja św. Mateusza VI, 22).

J. P. G.

ZOFJA WOŁOWSKA.

Wśród lodowców i fjordów Norwegji.

(Ciąg dalszy.)

II.

Śród gór ciągnie się olbrzymia dolina, która zdaje się nie mieć końca... Dno porośnięte lasem brzozowym lub bujną trawą, wśród której huczy ogromny, szeroko rozlany potok. Ponad lasem, po obu stronach doliny piętrzą się skały coraz wyżej i wyżej, tak że niektóre zdają się ginąć gdzieć pod niebem. W samej głębi doliny widnieją góry o jakiejś sino-fjoletowej barwie, najwyższe ze wszystkich, a na szczycie widać białą, lśniącą koronę lodowców. Niebo jest niebieskie, bez chmurki. Ale promienie słońca niezbyt gorące, dają jakoś więcej światła niż ciepła. To kraj srogiej północy. Norwegja!

Tak, taką ją śniła Marysia, tylko jeszcze potężniejszą, jeszcze dziwniejszą okazała się w rzeczywistości. Stało się zadość jej najśmielszym marzeniom, bo oto idą przed siebie w nieznany świat! I to idą sami, we dwoje tylko, zdani na własną przemyślność i zaradczość. Czy Marysi się to wszystko nie śni czasem? Ale nie, oni idą naprawdę przez góry Norwegji! Jak to się wszystko stało?

Te dni ostatnie były tak bogate we wrażenia, że trudno nawet w tem wszystkiem się połapać. A więc najpierw, wyjazd z Warszawy; przyjazd do Gdańska, następnie niespodziana i niefortunna wiadomość w porcie, że statek pasażerski, którym mieli jechać do Bergen, odszedł dnia poprzedniego. Zaszła widać pomyłka w obliczeniach. Potem szczęśliwa okoliczność, że był w porcie statek handlowy, jadący z drzewem do Norwegji, którego kapitan zgodził się zabrać dzieci i odstawić je do Bergen. Dalej ta pełna wzruszeń podróż po morzu. Wreszcie, nowa katastrofa w Bergen. Okazuje się, że wyruszyć w świat nie jest tak łatwo, że na każdym kroku piętrzą się niespodziewane trudności. Oto ojca nie znaleźli w Bergen w gospodzie „pod Lwem Skandynawskim", gdzie było naznaczone spotkanie. Skoro pasażerski statek dzieci nie przywiózł, ojciec sądził, że nie przyjadą już wcale i skorzystał z urlopu, który mu udzielono na statku, by ruszyć w głąb kraju do rodziny swego przyjaciela Norwega, Nielsa Ewessena. Gospodyni hoteliku, która im udzieliła tych wyjaśnień, wcale nie wiedziała kiedy miał wrócić do Bergen. Może wracając wsiędzie na statek gdzieindziej na wybrzeżu norweskiem.

Jakaż była rozpacz Marysi wobec tych wieści! Co tu robić?! Marysia nie pamiętała nigdy w życiu podobnego zawodu i równie trudnego położenia. Aż tu nagle Jaś, który znacznie mniej się wszystkiem zmartwił niż siostra, zaproponował pójść na poszukiwanie ojca. Muszą go znaleźć. Od czegóż to ćwiczą się w różnych umiejętnościach harcerskich, żeby sobie w każdych okolicznościach nie umieli poradzić!

Dowiedzieli się więc od owej gospodyni, która na szczęście mówiła trochę po francusku, że ojciec ich udał się w góry do wioski Myrdallen, że trzeba było jechać koleją do Finse, niezbyt daleko od Bergen, a stamtąd już tylko piechotą przez góry nad wielkie jezioro Djepwand, od którego już niedaleko jest Myrdallen.

Marysia wytężała całą swą francuzczyznę szkolną, na szczęście była zawsze bardzo dobrą uczennicą w tym przedmiocie. Jak to się teraz przysłużyło! Jaś zaś, który gorąco nienawidził francuskich słówek, nie mógł jakoś nic zrozumieć.

— Żebym był wiedział, że to się na coś przyda, tobym się inaczej uczył tych „verbów" francuskich, mówił później z żalem do siostry.

W Bergen zaopatrzyli się w zapasy żywności, zostawili część rzeczy w gospodzie, a upakowali tylko plecaki. Kupili sobie mapę Norwegji i na niej wyrysowali swój szlak. Następnego dnia, wczesnym rankiem wyjechali koleją z Bergen. Akurat, starczyło im jeszcze pieniędzy na bilety.

Właścicielka gospody przenocowała ich i nakarmiła, nie chcąc za nic wziąć od nich pieniędzy, jeszcze zaopatrzyła na drogę i odprowadziła na stację. Nie dziwiła się, że chcą iść do Myrdallen choć kraju nie znają, bo u nich w Norwegji dzieci od małego przyzwyczajone same sobie radzić.

Dziś rano opuścili piękną, malowniczą miejscowość Finse, i według wskazówek ludzi tamtejszych, z których coprawda mało co zrozumieli, ruszyli górską drogą w głąb doliny. Szli już dobrych kilka godzin, minęli małą wioskę norweską, Börk zwaną. Wioskę? Czyż zasługuje na to miano? Była naznaczona na mapie dużemi literami i zobaczyli urząd pocztowy, na którym widniała ta nazwa, ale cała „wioska" składała się z czterech domów! Śliczne drewniane domki ze spiczastym dachem, pomalowane na ciemny brunatno-czerwony kolor z białemi drzwiami i oknami. Wyglądały jak dla lalek i bardzo ładnie odcinały się od zieleni lasów. A, jak ślicznie było tam wewnątrz! Zaszli, by się upewnić, czy są na dobrej drodze. Gospodarz ich zatrzymał, wprowadził do ślicznego, czyściutkiego saloniku, pełnego mebli miękich, obrazów, rzeźbionych półeczek i gracików. Właściciel — to prosty wieśniak, tylko w Norwegji każdy wieśniak dba o ładne, czyste i wygodne mieszkanie. Ugościł ich wyborną kawą ze śmietanką i nie chciał nawet słyszeć o zapłacie.



Dolina Jostedal z lodowcem Fabergsbrae. (Widoczna jest rzeźba krajobrazu górskiego Norwegji).

— Norwegja jest bardzo gościnna, zauważył Jaś.

Marysi podobały się ogromnie ogorzałe postacie tych ludzi, z jasnemi jak len włosami, o dużych jakby dziecięcych, niebieskich oczach, a przytem i wzroście ogromnym i zgrabnej budowie.

— Ładni oni są, rzekła do Jasia, podobają mi się ci Norwegowie bardzo.

Od Börk, droga ich prowadziła coraz bardziej pod górę, i po niejakim czasie skręciła na lewo i piąć się poczęła po zboczu. Widok otwiera się coraz rozleglejszy coraz wspanialszy. Dolina zapadła się gdzieś w głębię,

a przed niemi otwierają się bezkresne przestrzenie skaliste. Prawdziwe zwały granitowe piętrzą się na wszystkie strony potężne i srogie: to Fjeldy. A dokoła na horyzoncie widnieją coraz nowe łańcuchy górskie. W dali na tle niebieskiego nieba błyszczy ogromny lodowiec. Ile tu powietrza, ile przestrzeni!

— Wiesz Jasiu, my teraz naprawdę idziemy w świat nieznany. Wszystkie miasta domy ludzkie zostały już za nami, a przed nami patrz, góry, skały, lodowce i nie wiem co jeszcze...



Jostedal-Nigardsbrae. (Język lodowcowy, schodzący nisko w dolinę).

Odczuwa, lecz nie umie powiedzieć: przed niemi są jeszcze „przygody".

Ta nieznana dal gna ich wciąż naprzód. Mijają zwolna coraz to nowe granitowe progi, które zdają się nigdy nie kończyć. Ścieżka jest coraz mniej widoczna, znaczą ją słupki kamienne, nakryte mniejszym kamykiem, wyglądające jak małe karzełki.

— Za tą górą będzie już napewno ta dolina, do której mamy zejść i na końcu której znajduje się jezioro Djepwand, mówi Marysia, tak jest na mapie.

Zmęczeni są już trochę tą długą drogą; z wysiłkiem dostają się na wierzchołek góry, chcą czemprędzej ujrzeć dolinę. Tymczasem doliny niema, a zamiast niej okazuje się, że weszli na rodzaj płaskowzgórza pokrytego rumowiskami skalnemi i morenami [1]), tu i ówdzie między skałami widnieją płachty śniegu. Podążają jeszcze parę kroków i nagle ukazuje im się duże jezioro. Ale takiego jeziora nie widzieli jeszcze nigdy w życiu: jest całe pokryte krą, która chrzęści za podmuchem wiatru; przeciwległy jego brzeg jest zupełnie biały od śniegu. Nad wodą zaś unoszą się pomimo lodu chmary komarów [2]). Prócz tych komarów, które zresztą tylko brzęczą, lecz nie kąsają złośliwie, niema żadnego śladu życia. Granicę drzew minęli już dawno, tu zaś niema już ani krzewów, ani nawet skąpej zeschłej skalnej trawy. Nic zupełnie Jest cicho i jakoś złowrogo. Ta nagła zima tu, w środku lata czyni dziwne wrażenie.

— Wiesz Marysiu, że chyba stąd już biegun północny niedaleko, szepcze Jaś.

Marysi zrobiło się jakoś straszno. Tak tu odludnie, tak pusto. Cisza zupełna i tyle grozy w tej martwocie. A że przytem chłód wieje od zmarzniętego jeziora, postanawiają prędko iść dalej. Ale którędy? Droga znaczona karzełkami prowadzi przez śnieg. Obejrzeli mapę: przy drodze, którą iść byli powinni nie było jeziora aż do samego Djepwand. Ale tamto było zupełnie gdzieindziej.

[1]) moreny — głazy pozostałe po lodowcach.
[2]) wszystkie opisy przyrody Norwegji są autentyczne i zjawiska rzeczywiste, obserwowane w czasie podróży po tym kraju.

Nagle Jaś wskazał palcem na błękitną plamkę na mapie, coprawda w innym zupełnie kierunku.

— Czyżbyśmy tak zmylili drogę?

A jednak, po dłuższem badaniu, okazało się to niezbicie.

— W takim razie, trzeba już iść dalej tą drogą, ona prowadzi do innej doliny, która też doprowadza do Djepwand — tylko trzeba iść na przełaj przez góry. Najgorsze to, że już jest późno, patrz, 6-ta godzina możemy nie dojść przed nocą.

— Br... nocować tu, koło tego zmarzlucha! — rzekł Jaś.

Ta myśl ich przerażała. Ruszają więc szybko naprzód. Ciągły bezkres pól skalnych budził w nich coraz większy niepokój. Nie tak to łatwo wędrować po obcych, nieznanych krajach. Nie tak łatwo iść „w świat". Marysia stwierdza to już poraz drugi. Idą wciąż naprzód, a skały zdają się nigdy nie kończyć. Marysia co chwila spoglądała na zegarek — godzina 8-ma — widmo nocy nadchodzącej przerażała ją. Godzina 9-ta, 10-ta... Co to jest? Słońce wprawdzie zaszło, ale jest wciąż jasno. Na zachodniej stronie nieba nie ustępuje zorza wieczorna, taka jaka u nas bywa tuż po zajściu słońca. Godzina 11-ta, wpół do 12-tej! Czy to zegarek się popsuł? Jest wciąż zupełnie jasno. Można z łatwością czytać napisy na mapie. Przytem kompas jakoś dziwnie pokazuje, północ wypada prawie tam gdzie słońce zaszło! A gdzie zachód w takim razie?

— W takim dziwnym kraju, to cała geografja jest naodwrót, zauważa Jaś.

Idą wciąż naprzód według wijącej się wśród głazów ścieżki; widać ją zawsze bardzo dobrze. Wydaje się nawet Marysi, że widać ją coraz lepiej — rozgląda się wokoło — stanowczo jest jaśniej, a zorza różowa na niebie robi się większa. Cała północna strona nieba czerwienieje. Idą jeszcze czas jakiś w milczeniu wpatrzeni w to światło na niebie. Teraz nie ulega już wątpliwości, że jest zupełnie jasno, jasno jak w dzień. Po chwili niebo zabarwia się na czerwono i nagle w jednym punkcie na horyzoncie ukazuje się wschodzące słońce.



Język lodowca. Jostedalsbrae z bliska.

— Słońce! — wykrzyknęli razem Jaś i Marysia.

Tak wstało słońce i rzuciło swe cudne blaski na skały, na dalsze góry, na lodowce. Noc, ciągle oczekiwana, nie przyszła wcale...

— Prawda! — wykrzyknęła nagle Marysia, zapomniałam zupełnie, że tu są białe noce, przecież to północ, i bardzo niedaleka stąd przechodzi przez Norwegę koło biegunowe. Tam w środku lata słońce nie zachodzi wcale.

(C. d. n.)

Jak Antek Cwaniak wilczków kształcił.

ROZDZIAŁ VII.

Bujać, — to my, ale nie nas.

— O la Boga, kumo, o la Boga! Nie mogę, nie mogę..

— Zmitygujcie się pani Marcjanno zdziebko i nie śmiejcie się tak, jak kto głupi.

— Nie mogę, kumo, oj nie słuchajcie. A to ci bachory paskudne, a to paralusze zatracone, a ten ich starszy, to musi jakiś gazeciarz abo i kto inny.



Kobiety trochę uspokoiły się i postawiwszy koszyki pod murem, patrzyły w dalszym ciągu z zaciekawieniem na podwórze szkolne. Bowiem brama szkolna nie była tego wieczoru zamknięta i przechodnie spacerujący w piękne wiosenne popołudnie, słysząc na dziedzińcu wesołe, chłopięce okrzyki, zaglądali tam, a ujrzawszy co się dzieje, z uśmiechem pozostawali na miejscu. Zebrała się już spora gromadka widzów, która z zainteresowaniem śledziła to, co działo się na boisku.

A na boisku działy się rzeczy śmieszne. Gromadka dwunastu „pętaków", pod wodzą krzykliwego Cwaniaka, urządziła sobie zabawę. Ale jaką zabawę! Wyścigi! Tylko, że wyścigi nie zwyczajne, wyścigi, jakich jeszcze nigdy nie było w szkole. Oto wyciągnęli na środek podwórza długi stół, stanęli wszyscy rzędem koło niego, Antek Cwaniak powiązał sznurkiem ręce całej gromadki za plecami, na stole przed każdym wilczkiem postawił na blaszanym talerzu kawałek chleba, gęsto posmarowany powidłami (chleb i powidła zafundował „fater" Zygmusia) i na: raz, dwa, trzy — zaczęły się wyścigi. Kto prędzej, bez pomocy rąk, zje swój chleb!

Boże, co się działo wokół stołu! Chłopcy jak zgłodniała sfora psów, rzucili się łapczywie na chleb, rwali go zębami, szarpali, zlizywali powidła, przeginali cudacznie na wszystkie strony głowy, mażąc sobie twarze w niemiłosierny sposób. A Antek jak oszalały biegał wokół jedzących, i wył, szczekał, piał, śpiewał — zachęcając do pośpiechu. Kto prędzej. Kto, kto??!

Nosy, policzki, brwi, u niektórych nawet uszy czerniły się od powideł. Antek skakał z radości do góry i bił się rękoma po udach, jak prawdziwy kogut. Pani Marcjanna, jej kuma i wszyscy inni widzowie śmieli się coraz głośniej z tej cudacznej zabawy.

— Zjadłem, — krzyknął pierwszy Plisiuk.

— Zjadłem! Zjadłem! — odezwały się inne głosy.

Gdy już większość uporała się ze swemi porcjami, Antek gwizdkiem przerwał grę i, nie pozwalając rozwiązywać narazie rąk, wydawał wyrok.

— Wygrał wilczek Grzegorz Plisiuk! Ale popatrzcie wszyscy na Plisiuka, przypatrzcie mu się dobrze. Widzicie, Plisiuk ma zawalany powidłami tylko koniec nosa i usta. A wy wszyscy? Kapujecie teraz, dlaczego Plisiuk wygrał?

— Dlatego, że się nie powalał — wyrwał się Felek.

Antek pogardliwie spojrzał na Felka, i przerywając śmiech wilczków, rzekł:

— Końby się uśmiał z tego, co mówi Felek! Plisiuk wygrał dlatego, że się nie spieszył, nie rzucał się zębami jak oszalały na chleb, nie gryzł go łapczywie i byle jak, ale zrobił sobie plan i obmyślił przed wyścigami, jak ma jeść. Sam widziałem, że przysunął ostrożnie chleb na skraj talerza i gryzł spokojnie z wystającego boku. Dlatego wygrał i mało się pomazał. Wiecie teraz, dlaczego? I zapamiętajcie sobie wilki, że mądry chłopak zawsze przedtem nim co zrobi, pomyśli sobie — jak to robić. No dobrze, a teraz rozwiążcie jedni drugich — i do kranu myć się. Ale biegiem!

Z wrzaskiem, śpiewem i śmiechem pobiegli wilczacy w podskokach do kranu, a za parę minut wrócili już czyści z powrotem. Antek rozdzielił gromadkę do dalszych gier na dwie partje i starym zwyczajem komendę nad drugim oddziałem dał Frankowi.

— Cwany wodzu, a czy to nic nie szkodzi, że tam tyle ludzi się na nas gapi? — spytał szeptem Franek.

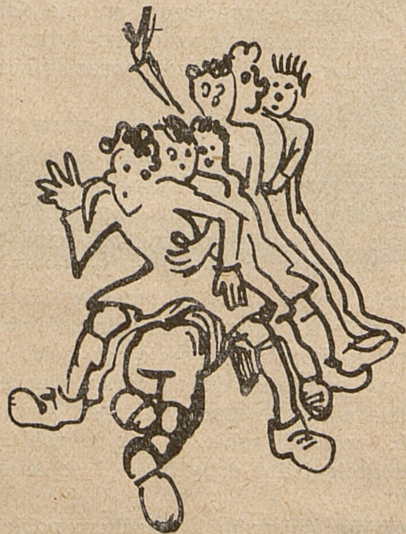
— A co ci to szkodzi? — Nawet bardzo dobrze, że starzy na nas popatrzą, bo coś mi się zdaje, że im się te gry podobają. Więc będą sobie jak w cyrku, ale na gapę. Im przyjemnie i nam też, że to niby jaki popis. I potem, jak która baba albo robociarz ma w domu jakiego pędraka i dowie się o wilczkach, to może go do nas odda. Niech patrzą — ile chcą.



Tego wieczoru Antek pokazał wilczkom tyle ciekawych gier, że czas zleciał z szybkością błyskawicy. Najpierw bawiono się w kreta. Chłopcy z każdej partji ustawili się w rząd, jeden za drugim, i na gwizdek pierw-

szy wilczek prędko przełaził na czworakach pod nogami swojej partji i stanął z tyłu, dołączając się do partji. Za nim drugi, trzeci — aż do końca. Grano w kreta trzy razy i wszystkie trzy razy zwyciężyła partja Antka, bo Antek znał ważny sekret: „Róbcie tłok i przesuwajcie się powoli wprzód" — dyrygował swoją partją.

Potem partje walczyły w „wyścigu z kręćkiem". Dwa oddziały stanęły tak samo w rzędzie, na gwizdek każdy czołowy w swej partji wilczek biegł do połowy podwórza, gdzie był zrobiony na żwirze znak, tam



okręcał się dookoła siebie trzy razy i biegiem wracał do swej partji, aby uderzyć w dłoń drugiego, który z kolei biegł do nakreślonego znaku. I tak aż do końca. Zawsze pełno było śmiechu, gdy po okręceniu się chłopcy nie mogli zorjentować się dokąd biec.

Ciekawą była gra „w trafianie". Antek wtykał w ziemię o 20 kroków od chłopców wielki cukierek na patyku, zawiązywał wilczkom kolejno oczy, i okręciwszy parę razy, stawiał twarzą do cukierka i kazał go przynieść. Oj, co to się działo! Nikt, ale to zupełnie nikt, nie trafił do cukierka. Chłopcy rozłazili się w różne strony, niektórzy zupełnie w bok i ani rusz nie szli tam, gdzie trzeba.

— Boście jeszcze fatalne ofermy — zawyrokował Cwany Wilk.

Gdy wreszcie urządzono skoki jeden przez drugiego, „wyścig taczek" i wyścig z kubkami pełnemi wody, Antek zadecydował, że ze względu na zmęczenie chłopców i późną porę, czas przejść do sali szkolnej na gawędę. Więc zwrócił się do stojących koło bramy widzów:

Bardzo nam przyjemnie było, żeśmy mogli państwa ubawić i rozweselić, bo grunt — to się nie przejmować. — Ale już trzeba nam fruwać do sali i dlatego nie proszę państwa, żeby się wynosili, ale mówię od chłopaków „do widzenia".

W sali po zwykłych uroczystych wyciach i przywitalnych tańcach zasiedli pomęczeni chłopcy w Kręgu Rady, a Antek Cwaniak stanął pośrodku, podciągnął spodnie, wytarł nos, spojrzał jednem okiem na wyciągniętą z kieszeni karteluszkę i zaczął:

— Najgorzej nie lubię bujać, a dziś właśnie będzie trochę w opowiadaniu bujdy. Ale tak widocznie potrzeba, bo drużynowy kazał mi o tym smoku opowiadać. A wiadomo, że nijakich smoków na świecie niema, że to wszystko chrzan...

— Bujać to my, ale nie nas — przerwał Ziutek. Ale Antek skrzywił się tylko trochę, rzucił Ziutkowi przez zęby: „przymknij się" i mówił dalej:

— Żeby opowiadać o królach, albo o zbójach, albo o Ameryce — to rozumiem! Bo to wszystko jest naprawdę. Ale smoki? O nijakich smokach fater mi nigdy nie mówił, a wiadomo, że jak fater nie wie — to znaczy, że coś źle z tem jest. Ale drużynowy kazał — więc trzeba. No dobrze. Więc była taka sobie bujda, czyli legenda, którą gadali ludzie po wsiach, że nad Wisłą, w wielkiej jaskini mieszkał ogromny smok. Straszne krzywdy on narodowi wyrabiał, łapał barany i krowy, a nawet ludzi pożerał. Gadali, że był silnie zły, mordę miał nie jedną — a kilka, a w paszczęce każdej zębów sto. Każdy ząb to był taki wielki — o — jak ten hak od lampy, i koło każdego zęba był woreczek z jadem. A najfatalniejsze to były oczy; wielgachne — jak miednice i czerwone — czerwone ze złości, jakby je krew zalala. I ogon miał sto razy większy od słonia, albo nawet od krowy.

Chociaż Antek uprzedził, że wszystko o smoku jest bujdą, to jednak tak ciekawie opisywał smoka, jakby go widział na własne oczy. Więc chłopcy przestali się uśmiechać i poszturchiwać, a wpatrzeni w Cwanego wodza, pilnie słuchali. Zaś Cwaniak, jak zwykle, dosadnie i szczegółowo opowiadał o nieszczęściach pobliskiego grodu, — pustoszonego przez smoka, o bezskutecznych próbach zgładzenia go i wreszcie o pewnym podróżniku, imieniem Krak, który postanowił wybawić ludność od potwora. Kilku wilczków przerwało Antkowi, krzycząc, że o Krakusie uczyli się w szkole, lecz wnet uciszyli się, gdyż Antek opowiadać począł takie rzeczy o Kraku, o których nie wszyscy wiedzieli. Więc okazało się, że Krak był bardzo sprytnym i mądrym człowiekiem, bo nie poszedł jak inni przed nim rycerze bić się z potworem orężem, lecz zaczął chytrze obmyślać najlepszy plan. Zupełnie jak Plisiuk przed wyścigami. Myślał Krak dzień i nic nie wymyślił, myślał drugi — nic, trzeci — też nic, a czwartego dnia obmyślił strasznie chytry sposób: mieczem zwyciężyć smoka nie można, bo jak mu jedną głowę uciąć, to druga zostaje; drugą uciąć — a pierwsza już tymczasem odrosła. Więc żeby go zniszczyć, trzeba mu coś dać do żołądka, żeby go zadusiło, albo rozerwało. Bo żołądek — to smok miał jeden. No dobrze. Ale co mu dać? Najlepiej — siarki, bo siarka strasznie piecze. Tylko, że smok nie jest frajerem i nie będzie sam bez powodu żarł z beczki piekącą siarkę. Otóż Krak postanowił zrobić smokowi pirszoklaśny kawał i zestrugać z niego warjata. Zrobił tak: zabił barana, obdarł



skórę, napchał ją siarką i wyszedł z tego prawdziwy, duży baran. Kukłę tę podrzucił Krak w nocy pod jaskinię smoka, a ten gdy zrana obudził się i wylazł, — odrazu wypchanego barana połknął. Bo był fatalnie śpiący i jeszcze ze snu dobrze nie widział.

Chociaż wszyscy prawie znali już opowiadanie o Kraku, ale gdy Antek, naśladując smoka, wysunął naprzód szyję i mocno łyknąwszy z przymkniętemi oczyma ślinę, wyrzekł: „połknął go" — chłopcy odetchnęli z ulgą! — „Przepadł frajerski smok!" „Kaput!" „Umarł w butach!"

— Pił, pił wodę, żeby ugasić ogień w brzuchu, — kończył Antek — aż pękł. Checna była potem radość w całym grodzie i zaraz przyszła do jaskini orkiestra, zaczęła grać wesołe melodje, a wszystkie dziewczyny i chłopacy tak hasali koło pękniętego smoka, że aż oj! Kraka potem, że był taki nie w ciemię bity, że był mądry i rozumny — wybrali mieszkańcy swoim księciem, i miasto to od jego imienia nazywa się Kraków.

Przerwał na chwilę Antek, powiódł po wilczkach pytającym wzrokiem i spytał:

— Ale kto mi powie, poco ja Wam o tem mówiłem?

— Po to — wyrwał się odrazu Stach — żebyśmy puszczali je na wietrze.

— Albo po to — dodał Janek — żebyśmy urządzili jaką zabawę w smoka.

— I żebyśmy tańczyli smoczy taniec.

— A wcale nie — poważnie wtrącił się wrzaskliwy Franek. — Ja już znam Cwanego wodza i wiem, że on chce, żeby wszyscy wilczacy byli morowymi chłopakami, żeby nie dawali nabijać się w butelkę i żeby byli tak chytrzy i rozumni i mądrzy, jak Krak. I żeby wszystko robili nie na chypcika, a z planami.

Antek kiwnął potakująco głową i rzekł:

— Wszyscy gadali dobrze. Zrobimy papierowego smoka i gry i tańce, ale najważniejsze — skapował Franek. Wilczek musi być bardzo roztropny i wszystko robić klawo. I guzik umieć przyszyć, na lekcjach odrazu odpowiedzieć, i aeroplan zrobić, i skaleczony palec obandażować i w różne gry dobrze grać, zreparować złamany wózek i wogóle wszystko robić prędko i rozumnie. Dlatego ciągle na zbiórkach bawimy się w trudne gry, żebyśmy się przyzwyczaili prędko skapowywać różne sytuacje i odrazu chytrze i porządnie je wypełniać. Jak Plisiuk dzisiaj.

Wilczacy siedzieli spokojnie. Widocznie znużeni grami nie odczuwali potrzeby ruchu, więc Antek postanowił nie urządzać smoczych tańców i gier, natomiast pozwolił chłopcom opowiadać o różnych roztropnych uczynkach. Siedzieli tak w półmroku niknącego dnia w swym Kręgu Rady i jeden po drugim dzielili się spostrzeżeniami. Kostek chwalił swego wujka, który furmanowi wyjął z nogi igłę; oj, jak to było trudno — bo cała igła weszła w nogę, nawet nie było jej widać! Ale wujek wyjął. Próbował palcami, zębami, wreszcie udało się obcążkami. Inny wilczek opowiadał, jak znalazł drogę w lesie, jeszcze inny — jak spłoszył złodzieja na strychu, gdzie była bielizna. Plisiuk wszystkich zaciekawił wspomnieniami gry zimowej, — w której wykradł topór wojenny przeciwników, upatrzywszy słabe miejsce wrogiej partji. Ignaś opowiedział bajkę o gapiackim Bronku, który zakradł się do spiżarki po smakołyki, a najadł się pociemku mydła.

W gwarze, wspomnieniach i śmiechu mijał czas. — Antek właśnie zaczynał czytać z regulaminu, co potrzebne jest wilczkom do zdania egzaminu na pierwszą gwiazdę, gdy naraz — stała się rzecz dziwna i nieoczekiwana. Ktoś szybko otworzył okno, mignęła czyjaś ręka w harcerskiej bluzce i duży kawałek cegły upadł na podłogę tuż obok obradujących wilczków. W jednej chwili zerwali się chłopcy na nogi i rzucili do okien i drzwi. Zapóźno... Na ulicy również nikogo podejrzanego nie było widać.

A gdy wzburzeni zasiedli znów jeden obok drugiego w Kręgu Rady, Antek pobladły ze wzruszenia rozwiązywać począł zębami supły, któremi przywiązał ów tajemniczy „ktoś" zapisaną kartkę do wrzuconej cegły.

— Się nazywa harcerz, a takie babskie supły pozawiązywał. Aż dopiero teraz puszczają. O, już odwiązałem. No, zobaczymy, co tu stoi.

I wśród śmiertelnej ciszy wsłuchanych wilcząt Antek przeczytał:



„Szlachetne zastępy „Kukułek" i „Lisów" dowiedziały się, że niejaki Antoni Cwaniakowski, którego chłopaki przezywają Cwaniak, założył gromadę wilcząt. Chcieliście wilczaki, żeby waszych tajemnic nikt nie znał i nie podpatrzył, ale to się wam nie udało i nie uda, czego Wam z całego serca życzymy. Bośmy was wytropili i wszystko o Was wiemy. A teraz to inaczej nie można, tylko musi być wojna z podchodzeniem w lesie Opolskim, w niedzielę zaraz po Mszy św. I w czasie wojny można podchodzić na 15 kroków i uderzać szyszkami. Zobaczymy, kto kogo zwycięży, ale napewno nie wy nas, bośmy już wszyscy po trzecim stopniu i harcerze. A jeżeli stchórzycie — i nie przyjdziecie na wojnę — to ogłosimy w szkole, żeście niedołęgi, słomiane koguty i wogóle dzieciaki i ofermy. Teraz Was serdecznie całujemy. Czuwaj!

Podpisani: Andrzej Tomasik — zastępowy „Kukułek"
(nieczytelny) — zastępowy „Lisów"

Niech tam sobie gromada Antka wrze i kipi. Niech ków. Ci siedzieli zmieszani i jacyś niepewni. Tylko Franek mruknął: „A mówiłem, żadnych zabaw publicznie nie urządzać!" Ale gdy po chwili Cwaniak zabrał głos i podniecony zaczął nawoływać do męstwa, gdy począł barwnie opisywać przypuszczalne zwycięstwo — w sali zawrzało.

Niech ta msobie gromada Antka wrze i kipi. Niech układa plany wojenne i obmyśla chytre sztuczki. Oby ich, chłopaków kochanych, spotkało w lesie Opolskim powodzenie! My zaś, czytelniku, zostawmy ich w tej sali szkolnej i idźmy już stąd. I tak za długo z niemi byliśmy dzisiaj. Tylko przed wyjściem na chwilę wstąpmy do woźnego i powiedzmy, by zapalił w sali światło, bo już się zrobiło zupełnie ciemno.

A. K.

GUSTAW MORCINEK.

Długie nogi.

Mocno mu się z czupryny kurzyło — jakoby z tej Fafułowej warzonki — gdy wracał z powrotem. I zły był okrutnie. Dowiedział się bowiem od dobrodajnych sąsiadów, że Czesi, co se nad Ostrawicą granicę przeciągnęli, gotowi każdej chwili napaść na Cieszyn i że ustawicznie wygrażają, że „już mają Teszinsko w kapse“, i tak ciągle naokoło.

— Pierony jasne — mruczał zawzięcie — niech tylko spróbują. Spieremy dziadów kalwaryjskich, że ich ani rodzono matka nie pozno! .

Myśl ta jednak nie dawała mu spokoju. Długo się nią gryzł i truł, aż wkońcu nie mogąc wytrzymać, zwrócił się do swego porucznika:

— Panie poruczniku, proszę pieknie, jest to prowda, że te kocendry chcą z nami wojny? — pytał, stojąc przed nim na baczność i patrząc mu niespokojnie w oczy.

— Jakie kocendry? — zapytał zdziwiony porucznik.

— Na tóż Czechy, panie poruczniku.

— Dlaczego jesteście tacy zawzięci na nich? — zapytał oficer, uśmiechając się nieznacznie.

— A bo jo, melduję bardzo pieknie, panie porucznik, jo nic nie zrobił, jenych dwanoście kaczek podusił, a zato mlołech w Piekiełku karować.

Oficer widział, że trudno mu przyjdzie wymiarkować, o co tu właściwie chodzi Rudkowi. Usiadł przeto za stołem i kazał sobie opowiedzieć całą historję o owych dwunastu kaczkach. Gdy skończył, zrozumiał, że nie może on przeboleć tamtego zesłania do Piekiełka i dlatego wyczuwa do Czechów nienawiść, ponieważ sztygar Poprtal był także Czechem. Pozatem — widać — musieli mu już nieraz dokuczyć...

Od tego czasu minęło kilka tygodni. Pogłoski o możliwem złamaniu ugody, zawartej między Radą Narodową a Narodnim Vyborem z dnia 5 listopada, wzmagały się z dnia na dzień. Podtrzymywały je jeszcze i utwierdzały zachowywanie się placówek czeskich, przekraczających linję demarkacyjną. W zagłębiu karwińskiem wzrastało podniecenie i wrzało, jak w ulu. Coraz to więcej górników garnęło się do milicji śląskiej, mającej za zadanie bronić Śląska w razie najazdu czeskiego.

Nadszedł dzień 21 stycznia. Dzień był mroźny a słoneczny.

W dowództwie dywizyjnem w Cieszynie czyniono gorączkowe przygotowania. Rudek przez cały dzień biegał jak zwarjowany ze swoją teką po mieście. Wieczorem, gdy już prawie nóg nie czuł, przywołał go porucznik i zaprowadził przed pułkownika.

— Słuchajcie Kukucz — zaczął pułkownik, srodze czegoś zakłopotany — znacie Bogumin?

— Pieknie proszę, znóm, panie pułkowniku, boch tam chodzowoł na odpust — meldował wyprężony chłopiec.

— Pojedziecie tam. Dziś w nocy. Otrzymacie z adjutantury list, który oddacie tamtejszemu dowódcy. Bardzo ważny list. Przyniesiecie poświadczenie. Ale pamiętajcie, bardzo ważny list!...

— Bydym pamiętać, panie pułkowniku, bardzo ważny list!.. — powtórzył chłopiec a oczy zaświeciły mu się z ogromnego ukontentowania. Toć to tylko jego pan pułkownik wyróżnił z całego garnizonu, jemu tylko powierza tak wielką a tajemniczą misję. A tu jeszczeby ktoś chciał coś mówić, he!...

Po północy wręczył mu porucznik dużą, zapieczętowaną kopertę. Chłopiec wsunął ją za pazuchę i poszedł na dworzec. O godzinie pierwszej przybył pociąg od Jabłonkowa. Janek wsiadł i pojechał. Co chwila macał się po piersi i wyczuwał palcami szelest papieru, by się przekonać, czy go też — Boże uchowaj — nie zgubił.

Gdy nad ranem dojeżdżał do Bogumina, wyjrzał oknem. Zdziwił się niezmiernie, gdy w szarzejącym mroku nocnym dojrzał długą tyraljerę żołnierzy czeskich, ginącą gdzieś w ciemnych polach. Posuwała się wolno wzdłuż toru w kierunku Bogumina.

— Kigoż grzecha to robią — pomyślał zaniepokojony i wychylił się jeszcze mocniej z okna. W tej samej chwili przeleciał jego pociąg koło drugiej linji, a potem koło trzeciej, zakradającej się chyłkiem pod pierwsze zabudowania Bogumina.

— Źle!... — zawyrokował i jął się trzeć po czuprynie.

Nareszcie pociąg wtoczył się na dworzec. Obstąpili go żołnierze polscy. Mrowie ich było. Z bagnetami na karabinach zdawali się czegoś czekać.

Oficerowie przebiegali. Rudek wyskoczył na peron i pobiegł do kancelarji. Na schodach tunelowych spotkał się z pułkownikiem.

— Panie pułkowniku — zaczął meldować. Lecz ten nie czekał, tylko rzucił niecierpliwie:

— Macie list z dowództwa? Dawać!...

Rudek sięgnął za pazuchę i podał.

Pułkownik rozdarł kopertę, rozwinął, przeczytał i zawrócił.

— Panie pułkowniku — zawołał za nim chłopiec — pokwitowanie!...

— Później — rzucił mu jeszcze komendant i znikł na zakręcie schodów.

— No jak później, to później — mruknął do siebie — wszak się nie poli.

Podszedł do wagonu, usiadł na stopniach.

Nagle od strony ogrzewalni dały się słyszeć strzały. Rudek podniósł głowę i zaczął nasłuchiwać. Wydawało mi się to coraz bardziej podejrzane.

— Cosikej w tem musi być — myślał, drapiąc się po głowie — muszę się zapytać.

— Te kamrat — zawołał na przechodzącego żołnierza — któż to strzela?

— Na, pieronie, cóż sie robisz taki glupi — odburknął żołnierz — przeca możesz wiedzieć, że to Czesi. Któżby inszy? Bo zdaje się, że będzie praczka...[1])

— Jeżysz, Maryjo, cóż ty powiadosz!... — zerwał się na równe nogi. — Na, mocie tu jaką flintę?

— A co z ciebie za wojok, jak ty bez flinty chodzisz? Myślisz, że to na kiermaszu lebo na chrzcinach, lebo co?

— Na dyć tak nie rąbej tym pyszczykiem — usprawiedliwiał się Rudek — przeca musisz wiedzieć, żech akurat teraz przyjechoł z pismem z Cieszyna dlo waszego starego. A djasi się pozdali, że tym przegrzeszonych Czechmanom zachce się wojny.. Dyć mi jeno powiedz, gdzieby tu wyfasować jaką flintę...

— A jeśli tak, to co inszego — udobruchał się tamten — Wiesz synku, nie wiem, bo już wszystko wywieźliśmy ku Dziećmorowicom. — A widząc strapioną gębę jego, dodał. — Ale wiesz synku, skocz ty jeszcze ku sztabowemu, może tam wygrzebie kaj jaką starą pukowkę .

Rudek zerwał się szukać sztabowego. Rzadka strzelanina w obrębie dworca, gdzieś za ogrzewalnią, nie ustawała. W tunelu spotkał znowu pułkownika. Przypomniał sobie pokwitowanie. Zawrócił więc za nim. Zauważył, że w ręce trzyma jakieś szare tulejki ze zwisającemi sznurami.

Równocześnie z drugiej strony nadbiegł kapitan. Przystanął przed pułkownikiem i meldował, że Czesi zajmują ogrzewalnię a od Przywoza nadjeżdża czeski pociąg pancerny.

Pułkownik targnął siwe wąsy i zaklął:

— Psiakrew, most musi być bezzwłocznie wysadzony! Wybrać mi kogoś na ochotnika!.. Kogoś z długiemi nogami! Nie wiele mamy czasu, musimy ich uprzedzić. Już!...

Kapitan pobiegł.

Chodziło tu o pośpiech, by jeszcze naczas dotrzeć do mostu nad Olzą, oddalonego jakie dwa kilometry od Bogumina, zanim czeski pociąg pancerny zdołałby na drugą stronę rzeki przejechać. Inaczej zyskałby otwartą drogę do Dziedzic.

Zanim jednak kapitan powrócił, rzecz już była postanowiona.

Bo gdy Rudek, stojący opodal pułkownika, posłyszał, że tu potrzebny ktoś z długiemi nogami, zrozumiał, że tu chodzi o niezwykły pośpiech. A przecież tylko on potrafi tak biec, jak nikt inny!...

— Dobrze — pomyślał — teraz pokażą, że się na coś przydam!

Stanął przed pułkownikiem i wskazując na swe nogi, zameldował:

— Panie pułkowniku, melduję bardzo pieknie, że jo móm dlugie nogi... Podziwają się..

[1]) praczka = bijatyka.

Pułkownik spojrzał i lekko się uśmiechnął. Naprawdę, teraz dopiero zauważył, że ów żołnierz z zawadjacką gębą, co stoi przed nim, podobny swemi nogami do bociana.

— Potraficie biec szybko?

— Hale, panie pułkowniku, jak pierón...

— A umiecie się obchodzić z ładunkami wybuchowemi? — zapytał, potrząsając tulejkami ze zwisającemi sznurami.

— To się wie, panie pułkowniku! Dyć przecież nieraz pomoglech w hawierni strzelcowi ładować dynamit, gdy my w kamieniu robili.

— Dobrze. Tu macie. Biegnijcie, co sił w kierunku Piotrowic... Wzdłuż toru.. Natraficie na most. Nad Olzą. Założycie pod obydwa tory. Zapałki macie?... Tu są.. Dobrze założycie, żeby most ruszyło... Ale piorunem... szybko . już biegnijcie...

— Rozkaz, panie pułkowniku — wrzasnął Rudek, wsadził cztery ładunki za koszulę i pognał we wskazanym kierunku.

Strzelanina wzmagała się i przybliżała. Gdy się na skręcie obejrzał, ujrzał w dalekiej perspektywie lśniących torów nadjeżdżającą pancerkę czeską.

Przewidywania pułkownika ziściły się. Gdy czeska tyraljera podsuwała się pod dworzec, pociąg pancerny przeleciał w pędzie wzdłuż peronu, ostrzeliwując się, i popędził z krzykiem rozdygotanego żelaziwa za Rudkiem.

Rudek tymczasem gnał. Długie nogi śmigały, kieby wiatrakowe skrzydła. Nauczony doświadczeniem, nie biegł krokiem, lecz sadził olbrzymiemi susami, podobnemi do płaskich, długich skoków. Co się za nim działo, nic go w tej chwili nie obchodziło. Wszystko wolę, i wszystką drobinkę siły zgarnął w ten jeden wysiłek, by jak najwcześniej dopaść mostu, włożyć ładunki, zapalić a potem.. Eh, niech się dzieje, co chce...

Wicher zerwał mu czapkę z głowy, wył przeciągle w uszach i wpółotwartych ustach, a z tyłu dopędzało go chrapliwe dyszenie lokomotywy, dobiegające poprzez szum wichru. Nie oglądał się, tylko parł naprzód... Zdaleka zobaczył już czarne przęsła mostu. Leciały do niego coraz bliżej, coraz szybciej.. O tak, lecą... Coraz bliżej... coraz bliżej... jeszcze kilka skoków... już...

Zadudniały deski na moście, zahuczały głuchem echem, przewaliły się grzmotem nad wodą... Rozbiegane nogi waliły szybiemi młotami, kieby po dużej beczce.. Jeszcze skok.. jeszcze jeden...

Wtem z poza węgla wychynął przyczajony żołnierz z nastawionym bagnetem na karabinie. Zniżył go do wysokości piersi, ujął w łapy mocno i wrzasnął:

— Stój pieronie! Kaj lecisz?... Stój bo strzelę!..

— Całuj psa w nos — syknął zduszonym głosem Rudek, podbił mu łokciem lufę i runął na niego. Żołnierz zwalił się jak długi, a Rudek wyrwał mu karabin i prasnął nim pod szkarpę do krzaków.

— Nie widzisz, bulo zatracono, że pancerka czesko wali na nas, co? — krzyknął jeszcze na niego i jednym susem zjechał na lędźwiach po wysokim nasypie. Skoczył pod most. Szybko wyjął ładunki, przebiegł oczyma, gdzieby je wsadzić. Znalazł! Począł je wpychać w wąskie szpary między trawersami. Wetknął wszystkie cztery. Zwisające sznury ujął w dłoń. Potarł zapałkę... zgasła. Zaklął ciężko, zapalił drugą, przytknął do lontów. Żółty płomyk zasyczał, zapełgał, dobiegł do dłoni... Sparzyło go.. Puścił lonty.. Płomyk rozszczepił się na cztery mniejsze płomyczki. Każdy poleciał po swoim sznurze... Przerzucił je oczyma... Wszystko w porządku.. Zatarł dłonie i wybiegł z pod mostu...

Teraz dopiero spostrzegł, że brodził w wodzie po kolana. Pod nasypem zauważył żołnierza, którego na moście wywrócił. Szukał karabinu w krzakach.

— Uciekej synku — wrzasnął na niego — uciekej, bo most pójdzie do luftu..

Żołnierz zerwał się i pogonił za Rudkiem. Uciekali teraz obydwaj, co sił. Byle jak najdalej od mostu. Właśnie w tej chwili nadbiegała z krzykiem pancerka. Rudek obejrzał się. Ujrzał wwalający się pociąg na podminowany most... Nagle ogromny huk!... Krwawy jęzor ognia śmignął wysoko przed pociągiem, za nim strzelił w górę ciężki kłąb rdzawego dymu, jedno przęsło mostu udźwigło się ciężko i jakby załamane swym ciężarem, runęło do rzeki... W uszach dzwoniło stu kościołami. Towarzysz Rudków zwinął się w kłębek i upadł na trawę. Rudek zachwiał się, rozczapierzył ramiona i osunął na kolana.

W ostatniej chwili jeszcze dojrzał, że opancerzona, rozkrzyczana lokomotywa doleciała do wyrwy, jakby na moment wstrzymała się w biegu i teraz ze szczękiem i zgrzytem rozrywanego żelaza stacza się do rzeki, a następny wagon staje powoli sztorcem na jej dymiącym kadłubie...

Na trzeci dzień przymaszerował do Skoczowa. Tam bowiem kazano mu szukać dowództwa dywizji. Po drodze dowiedział się, że nasze wojska cofnęły się nad Wisłę, gdzie wstrzymały nacierających Czechów. Klął wtedy i wydziwiał, że go musiano aż krzykiem uciszać. Najbardziej złościł się na to, że w koszarach w Cieszynie pozostawił swój plecak, a w plecaku miał nowe buty, co oto niedawno wyfasował. Gdy go jednak pocieszono, że w dowództwie otrzyma nowe, uspokoił się jako tako.

Przyszedł do Skoczowa wieczorem. Był w nim poraz pierwszy w życiu.

— Fi! — mruczał z pogardą — takie mi tu miasto!.. Kilka domów, rynek i już po wszystkiem. To ma być miasto? Do bani z takiem miastem!...

Gdy stanął przed pułkownikiem, zakłopotał się wielce

— Mój ty święty Bożyszczu — biadolił w duchu — jak się tu teraz wymigóm? Miołech przynieść pokwitowanie, hę?... Co jo też biedno dusza zrobię?...

Wziął jednak na odwagę, trzasnął obcasami, zasalutował, przymknął oczy i jął meldować:

— Oto, panie pułkowniku, bardzo pieknie melduję, oto żech pismo oddoł, jak się patrzy, oto . ale tamten drugi pón pułkownik nie dali mi, oto nie dali mi pokwitowanio, bo mi prawili, oto . prawili mi, że nieskorzy mi go dają, bo mię oto oto mię posłali tamten pón pułkownik most do luftu wysadzić, tóżech jo, oto .. jo poszoł i pokwitowanio nie móm .. i koniec.

— Dobrze, dobrze — przerwał mu pułkownik, patrząc nań z uśmiechem — ponieważ most wysadzony, więc nie trzeba pokwitowania. To najlepsze pokwitowanie. Już o wszystkiem wiemy. Panie poruczniku — tu zwrócił się do adjutanta — ogłosić jutro w rozkazie, że szeregowca Kukucza mianuję kapralem i że został przedstawiony do odznaczenia. Możecie odejść!

— Rozkaz, panie pułkowniku — wrzasnął uradowany chłopiec, wykręcił się na pięcie i pomaszerował do drzwi.

— Poczekajcie jeszcze, Kukucz — zatrzymał go jeszcze pułkownik — a kto wam pomógł most wysadzić?

— Moje długie nogi, melduję bardzo pieknie, panie pułkowniku — odrzekł z przechwałką.

— Jakto wasze długie nogi? — zdziwił się dowódca.

— Na, bo gdyby nie moje długie nogi, toby mię te pierony pancerne były dognały i byłaby bryja, pieknie proszę, panie pułkowniku.

— Aha, to dobrze — i roześmiał się — możecie odejść. Ale poczekajcie. Oto macie na ząb — to mówiąc, sięgnął do pudełka, leżącego na stole, nabrał do garści cygar i podał mu.

— Pónbuczek zapłać, panie pułkowniku — zasalutował i już był przy drzwiach. Nagle coś sobie wspomniał. Zawrócił z powrotem.

— No, co jeszcze? — zapytał pułkownik.

— Melduję bardzo pieknie, panie pułkowniku, ale mie tamte Czechmany buty ukradły z plecakiem, bo zostały w Cieszynie.

— Dobrze, i buty otrzymacie. Zgłoście się do magazynowego.

— Pónbuczek zapłać, panie pułkowniku, a nie mają za złe!... — i poszedł.

A gdy przyszedł między swoich towarzyszy, obdarował ich cygarami, dzieląc każdą na połowę, aby się wszystkim dostało. Opowiadał swe przygody, łgając. A gdy który powątpiewał w prawdziwość jego opowiadania, wyciągał cygara z kieszeni, ważył je na dłoni i mawiał:

— A to co znaczy, hę? Myślisz, cybuchu jeden, żeby mi pón pułkownik dowali cygary zadarmo, gdyby to nie była prawda, co?

A jeżeli jeszcze teraz próbuje ktoś pokpiwać z jego nóg to nic nie mówi, tylko wskazuje palcem na błyszczący krzyż na piersiach i cedzi przez zęby:

— Widzisz, to za moje długie nogi... A ty co mosz?... Psiniec, wiesz!... Koniec.

Do licha z temi pokazami!

— Do licha z temi pokazami — rzekł Olaf.

— Nie miała baba kłopotu — zawtórował mu Polkowicz.

— Koń by się uśmiał z tego pomysłu — westchnął Tomek Węgorski.

—Gdy byłem na wykopaliskach we Francji — chciał coś opowiedzieć Kamień.

— Zmiłujcie się, dość tych jęków igada — przerwał Marjan. — Już wam tyle razy mówiłem, że musicie dopomóc mojej drużynie. Jeżdżąc stale na obozy, wiem jaką jaką propagandą są one dla naszych gości. Ale przecież nie propagandą są one dla naszych gości. Ale przecież nie mogę rok-rocznie pokazywać tego samego? Musicie mi dopomóc, nie wypuszczę stąd żadnego bez fanta! Musicie — o, zamykam drzwi na klucz! Jesteście przecie instruktorami.

— Boże, co ten Marjan wyprawia? — krzywił się Bolek Polkowicz, biorąc do ręki szóste ciastko.

— Gdy w Wenecji szukałem Gondoli, spotkałem raz podobnego natręta — zaczynał znów Kamień.

— A postawisz jeszcze po trzy ciastka? — przezornie wtrącił Olaf.



Komenda Chor. Śląskiej w czasie pobytu Pana Prezydenta Rzpl. w Katowicach, w maju b. r.

(od lewej strony: Dhowie Grzbiela, Kapiszewski, Kmt. Lowiński.)

— Postawię, postawię — tylko zaczynajcie.

Na takie zapewnienie czterech przyjaciół, uwięzionych przez Marjana w małym pokoiku, porozumiało się milcząco długiemi spojrzeniami. Potem wszyscy czterej, jak na komendę, wygodniej zagłębili się w fotele, przymknęli oczy i zapadli w rodzaj odrętwienia.

— Co wam? — zaniepokoił się Marjan.

— Nie przerywaj! Czekamy na natchnienie — rzekł Olaf, obejmując jakby przewodnictwo nad zebranymi przyjaciółmi. No, Bolku, zaczynaj!

I Bolek istotnie, po chwili milczenia, zaczął:

— Jestem z zamiłowania krajoznawcą i dlatego w tej dziedzinie będę szukał popisów dla twej, Marjanku, drużyny. Wiesz, co ci powiem? Zerwij z kapustą i grochem w pokazach harcerskich, a staraj się wprowadzić pewną logiczną całość. Nie rób jednego wieczoru pantominy hiszpańskiej, deklamacji o fryzjerze, pokazów ratowniczych i tańców, lecz całe ognisko poświęć jakiemuś zwyczajowi lub uroczystości ludowej. Zrób jakieś wesele, czy dożynki, wianki czy turonia.

— Ba, ale jak to zrobić?

— Zaraz, Marjanku, niespokojna dziecino. Pomalutku. Dam ci przykład, jakbym zrobił dajmy na to sobótki. Byłoby tak: Widzowie siedzą z jednej strony ogniska, — z drugiej jest „scena". Na scenę wyłazi przewodnik sobótki, „dziad", i śpiewnym głosem opowiada, jak to się zasapał idąc na sobótki z dalekiej wsi. Oj, teraz rzadko gdzie są sobótki. A szkoda. Bo jest to piękny i stary — stary zwyczaj. Jeszcze za pogańskich istniał czasów, kiedy to w upalny wieczór czerwcowy zbierali się na polanie w lesie nasi przodkowie, by oddać cześć słońcu, uczcić potęgę przyrody, by wyrwać losowi jakąś wieść o przyszłości. Oj, jak straszno było wtedy w puszczach, borach nieprzebytych, gdy młodzież zbierała się skakać przez ognie i wróżyć z biegu wody. O — i teraz się też zbierają!

Istotnie, gdy tak dziad gada, migające zdala w lesie światełka zbliżają się stopniowo do ogniska, wreszcie wynurzają się z lasu grupki chłopców, z paprociami w rękach i świeczkami i zasiadają przy wolnej połowie ogniska. Dziad uroczystą przemową zaczyna sobótkę. Następnie wszyscy śpiewają parę **ludowych** pieśni, np. „Tam pod borem zielona murawa", „Oj nie chcę cię Kasiu, nie chcę cię..." Z kolei dziad zachęca „chłopaków" do popisania się w tańcu i muzyce, do pokazania, że młodzi, dzielni i weseli. Występuje grajek (skrzypce, fujarka, harmonijka, lub organki) i chłopcy po jednej lub kilka par popisują się w tańcach. Idzie więc **krakowiak** (chór może przedtem zaśpiewać: „Krakowiaczek ci ja..."), potem **mazur** („umarł Maciek, umarł, i leży na desce"), **powolniak** kurpiowski (najprostsze dreptanie w kółko), **obertas** z pod Łęczycy (z przyklękaniem, biciem w podkówki), **góralski** („w murowanej piwnicy.." — może śpiewać chór. Jak najwięcej też zawodzić — heej!). Jeśliby ktoś umiał z prysiudami i drobnem przebieraniem nogami zatańczyć tańce huculskie — będzie to doskonały numer na sobótce.

— W przerwach inni chłopcy mogą popisywać się jakiemiś **deklamacjami** ludowemi (coś z Tetmajera, Pola, czy Orkana), lub **monologami** (chłop, sprzedający konia na jarmarku; jak baba djabła wyonacyła i t. d.). Mogą być śpiewy solowe lub duety (np. „Macieju, Macieju — dokąd to jedzies..."), mogą też w tańcu przyśpiewywać tancerze, można wreszcie zarecytować jakiś urywek z „sobótki" Kochanowskiego.

— W czasie tych popisów śpiewacko-deklamacyjnych kilku chłopców powinno pokazać swą odwagę skakaniem przez ognisko. Efektownem zakończeniem wieczoru byłoby zejście nad wodę i puszczenie na nią „na ofiarę Kupale" wianków.

— To już chyba wszystko. — kończył Polkowicz— pamiętaj tylko, Marjanku, by wszystkie tańce i śpiewy były ludowe, bo inaczej wszystko zeszpecisz.

Bolek skończył i łapczywie sięgnął po siódme ciastko. W czasie całej tej przemowy Marjan szybko notował coś w swoim zeszycie i nie wypuszczając z rąk ołówka, utkwił pytający wzrok w Olafie. Olaf zrozumiał wyzwanie.

— Mens sana in corpore sano, albo jak mówił mój przyjaciel Julek: „calos patatachos". Skoro już tak mnie ciśniesz, to zdobędę się na dowcip, ale tylko ze swego fachu — **wychowania fizycznego.**

Coprawda nie radzę wam — mówił z uśmiechem — wieczorem robić przy ognisku efektownych biegów kolarskich naprzełaj, ani też nie jestem szaleńcem, aby wam doradzać, coś z pokazów lekkoatletycznych. Natomiast wydaje mi się, że doskonale wyglądałyby stare, prastare, znane już za króla ćwieczka, **piramidy.** Dowcipna głowa łatwo wymyśli zawsze nowe figury na jakich 11—13 chłopców i, jeżeli chłopcy wystąpią nagusami, ubrani tylko w spodenki harcerskie oraz jeżeli wyćwiczą się w szybkiem i rytmicznem ustawianiu w takt jakiegoś marszu, to przy świetle ogniska wyjdzie z tego wspaniały pokaz.

Tak samo efektowną będzie dawno już nie widziana u nas **gimnastyka rytmiczna.** Niewiele ma ona coprawda zalet zdrowotnych, ale zato daje dodatnie wrażenie estetyczne; a jeżeli przytem wetkniesz chłopcom do ręki chorągiewki sygnalizacyjne, no to odrazu złapiesz dwie sroki za ogon, każąc im w takt muzyki sygnalizować semaforem.

— Dość, dość — przerwał Marjan. Wystarczy tego na parę popisów. Niech teraz Kamień gada.

(C. d. n.)

Czy najlepsza powieść harcerska?

(Z powodu książki Roberta Leightona: „Kiddi, dziecię obozu".)

Mimo, że już rok temu wyszła książka pod powyższym tytułem z druku, teraz dopiero miałem sposobność wziąć ją do ręki; a zachęcony entuzjastycznemi recenzjami i reklamami, z tem większem zaciekawieniem wziąłem się do czytania, by i ze swej strony stwierdzić, czy to rzeczywiście jedna z najlepszych powieści harcerskich? Przedstawione tu rozważania będą odpowiedzią na powyższe pytanie.

Omawiając książkę, przeznaczoną dla młodzieży, rozważyć musimy dwie jej wartości: artystyczną i wychowawczą, przytem ta ostatnia odgrywa niekiedy pierwszą rolę, zwłaszcza, jeśli chodzi o powieść harcerską, która z natury rzeczy posiadać musi specjalny charakter. Powieść harcerska bowiem powinna nam dać w osobie bohatera pewien zespół cech i przymiotów, które nazywamy harcerskiemi. Nie chodzi o to, by bohater był ideałem, bo wtedy powieść stałaby się papierowem, moralizatorskiem nudziarstwem, niemniej jednak musi przedstawić pewien zdecydowany, dodatni typ człowieka i to nietylko pod względem fizycznym, ale także i duchowym — musi być, krótko mówiąc, w zgodzie z prawem harcerskiem, — musi się stać wzorem, który starać się będą naśladować młodzi czytelnicy. Takim szlachetnym, harcerskim typem jest Staś Tarkowski — i dlatego powieść „W pustyni i w puszczy" zaliczamy do najlepszych powieści harcerskich, mimo że akcja powieści rozgrywa się na wiele lat przed organizowaniem pierwszych drużyn harcerskich, czy skautowych. — A jakże wobec takich wymagań przedstawia się bohater naszej powieści? Kiddi Birkenszo — to niewątpliwie materjał na skauta. Może nim kiedyś zostanie — po powrocie do Anglji, ale narazie tylko materjał. Narazie to tylko znakomity tropiciel i terenoznawca, bystry obserwator o sokolich oczach i świetnej zdolności wnioskowania, świetny wywiadowca, nieustraszony wojownik — jednem słowem dzielny chłopak w całem tego słowa znaczeniu. Jest przytem obowiązkowy, twardy dla siebie, nie znający wygód — zna, co to jest służba. Oto co o nim mówi autor (str 151): „..Nie dojadł, nie dospał, lecz służbę pełnił sumiennie. Wzamian za trud, uczył się wielu rzeczy, nabywał takie sprawności, jakichby go zwyczajne życie nigdy nie wyuczyło . Znał gwiaździste niebo i czytał w niem, jak w książce. Ono mu było zegarem i mapą zarazem, a gdy gwiazd nie było i mgła obległa prerję, to wiatr brał za przewodnika, albo swój własny instynkt, który go nigdy nie zawodził.

Nie dziw, że był tak silny i zdrowy, bo choć życie jego było twarde, żył w warunkach jak najlepszych. Miał słońce, powietrze, prostą strawę i zdrowy trud, a więc te rzeczy, które nam dają siły, a unikał tego, co siły odbiera: alkoholu, obżarstwa i tytoniu .."

Ślicznie! Tak powinien postępować każdy harcerz i pod tym względem Kiddi stanowi prawdziwie skautowy typ. Ale tenże sam Kiddi, żyjący na kresach, wśród ludzi, dla których „zgasić komuś światełko" było rzeczą zwyczajną, morduje z zimną krwią dziesiątki Indjan i stacza z nimi okrutne walki — i ma zupełnie spokojne sumienie Co więcej — strzela do uciekającego wodza „Oka Księżyca", a nawet chce go zgładzić podstępnie, celując do niego z ukrycia, gdy ten, ranny i prawie bezbronny, wraca z towarzyszami do swych wigwamów... Jeśli takie pojęcie honoru, rycerskości i miłości bliźniego ma wpajać w młodych czytelników książka, która właściwie cała tchnie niechęcią, jeśli nie nienawiścią do Indjan — to dyskusja ustaje. Chyba, że harcerzowi wystarczy być dobrym tropicielem, wywiadowcą i umieć odczytywać pismo obrazkowe...

Łączy się z tą sprawą wogóle myśl przewodnia, idea książki. Boć przecie każdy utwór, nawet nowela, ma jakąś myśl, jakąś tezę, którą autora zajmuje, jakieś wrażenia, czy spostrzeżenia, które czytelnikom komunikuje, któremi przejmuje, wzrusza, obudza do czynu.. A tutaj? Czy mamy jakieś porywające przykłady bohaterstwa, miłości ojczyzny — czy przewijają się przez powieść jakieś ogólnoludzkie ideały? Nic! Poszukiwanie i odnalezienie spadkobiercy angielskiego arystokraty, przemiana Kiddiego — z dziecka preryj w lorda Frittona — a w związku z tem instynktowna miłość Kiddiego do ojca, ukrywającego się pod przybranem imieniem Wilczej Łapy — oto wszystko.. A cała ta fabuła, nie wysuwająca się zresztą prawie nigdy na pierwszy plan, rozgrywa się na tle zaciekłych walk białych z czerwonoskórymi, pościgów, mordów i skalpowań. W walkach tych sympatja autora staje wcale wyraźnie po stronie białych, przedstawiając Indjan jako zwykłych niemal rozbójników. Nie równoważy tego krótkie wyjaśnienie autora (str. 157—158), w którem opisuje nieuczciwe postępowanie rządu Stanów z Indjanami, ani też rozmowa Gedeona, w której stara się przekonać towarzyszy, że demoralizacja białych zrobiła z Indjan to, czem są dzisiaj. I jeżeli podnosiły się dawniej głosy o ujemnem oddziaływaniu wychowawczem niektórych książek „indyjskich", jak np. „Ducha Puszczy" — to można to samo w równej mierze zastosować i do powieści Leightona.

* * *

Oceniwszy tak ujemnie treść i jej oddziaływanie wychowawcze — przyjrzyjmy się formie powieści. Może przynajmniej tu znajdziemy takie walory, które każą nam umieścić książkę w rzędzie wartościowych utworów dla młodzieży?

Trzeba przyznać, że książka jest ciekawa, zajmująca — utrzymuje uwagę w napięciu do ostatniej niemal stronicy Konstrukcja powieści, budowa dobra, ale to dla młodzieży rzeczy mniejszej wagi. Natomiast jest poważna usterka w przedstawieniu treści, usterka, która niszczy niejednokrotnie zupełnie iluzję artystyczną, złudę prawdy, a sprawia, że niektóre sceny określić musimy krótko jako „bujdy". Chodzi tu o ogromne niekonsekwencje i nieprawdopodobieństwa, zwłaszcza w opisie walk i pościgów.

Oto Kiddy, przewożąc pocztę, przejeżdża przez wąwóz Przewiduje zasadzkę, ale mimo to jedzie w środek wąwozu ,,.. Dwu Indjan poskoczyło ku niemu... dolina zaroiła się od miedzianych postaci.. Rozpoczął się wyścig na śmierć i życie.." (str. 154). W jaki sposób? Jakim cudem Kiddi uchodzi? I jak się mógł rozpocząć pościg, skoro Kiddi, wjechawszy w zasadzkę, został otoczony przez Indjan? Pozostaje to dla mnie zagadką.

Albo Generał Kaster wskutek własnej winy zostaje otoczony wraz z garstką żołnierzy zwartym pierścieniem Indjan Walka wre Kiddi przekrada się przez zwarty szereg czerwonoskórych, przez kule i strzały do środka.(!) Po chwili walczy już tylko dwunastu żołnierzy, potem trzech, wreszcie zostaje sam Kiddi Należy przypuszczać, że jest otoczony ze wszech stron Indjanami, którzy chyba zdołali się do niego zbliżyć na wyciągnięcie ręki. Tymczasem Kiddi nietylko ma czas namyślać się, co ma robić, ale może „korzystając z chwilowego zamieszania" wpakować rannego „Wilczą Łapę" na konia i wyjechać z pośród gromady Indjan!! A ci chyba zostali zahypnotyzowani — bo zaledwie kilka strzał posłali za uciekającym, nie mówiąc już o tem, że się chyba musieli rozstąpić, by zrobić uciekającemu miejsce.

Jest takich „lapsusów" jeszcze więcej, ale wystarczy chyba tych dwu przykładów, by dowieść, że i pod tym względem powieść pozostawia wiele do życzenia.

Na zakończenie jednak przyznać trzeba, że wartość polskiej powieści podnosi doskonały przekład dhny Olgi Małkowskiej. Język barwny, żywy, poza kilku usterkami pisowni łamiącym ostrzem, str. 43, niewiem str. 65, nie wiele, str. 67) poprawny, nawet piękny. Staranne i estetyczne wydanie książki sprawia, że się ją bierze z przyjemnością do ręki.

Pazdur.

Wydawca: Zarząd Oddziału Śląskiego Związku Harcerstwa Polskiego. Redaktor odpow.: Henryk Kapiszewski

Odbito w drukarni »Czasu« w Krakowie, pod zarządem Leopolda Wójcika.

KOMUNIKAT.

Dyrekcja Państwowego Konserwatorjum Muzycznego w Katowicach podaje do wiadomości, że

Zgłoszenia do wszystkich działów Konserwatorjum

a więc

do muzycznego, scenicznego i Seminarjum nauczycielskiego muzycznego,

przyjmuje już obecnie Sekretarjat Państwowego Konserwatorjum Muzycznego, Katowice, ul. Jagiellońska, nowy gmach Województwa V p. pokój Nr 1011 od godziny 10—12.

Podania udokumentowane składać należy od dnia 25 sierpnia do 10 września b. r. Egzamina wstępne od 5 do 15 września b. r.

Wpisowe jednorazowo zł. 20. Taksa egzaminacyjna zł. 10. Pomoce naukowe do szkoły niższej rocznie zł. 150 — do szkoły średniej zł. 200, do szkoły wyższej zł. 250, płatne w trzech ratach kwartalnych.

Dla niezamożnych zniżki, co szósty uczeń otrzymuje zwolnienie od opłat za pomoce naukowe. Dzieciom urzędników państwowych przysługują wszelkie udogodnienia przyznane państwowym uczelniom. — Dla najzdolniejszych uczniów w Państwie Minister Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego przeznaczył cały szereg stypedjów.

Przy podaniu należy złożyć: metrykę urodzenia, świadectwo szkolne, świadectwo lekarza.

KOMUNIKAT.

Dyrekcja Państwowego Konserwatorjum Muzycznego w Katowicach

ogłasza

KONKURS

na szereg stypendjów pod nazwą „Stypendja Ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego“ dla najzdolniejszych uczniów w Państwie.

O powyższe stypendja ubiegać się mogą uczniowie szkół średnich i wyższych kursów.

Podania składać należy do dnia 31 sierpnia 1929 r. na ręce p. Witolda Friemanna, Dyrektora Państwowego Konserwatorjum Muzycznego,

KATOWICE, ulica Jagiellońska,
nowy gmach Województwa V. p. Nr. 1011.

Do podania dołączyć należy: metrykę urodzenia, świadectwa: moralności, szkolne, stosunek do służby wojskowej dla mężczyzn.

Śląski Urząd Wojewódzki

ogłasza

KONKURS

na posadę Montera — Maszynisty

do obsługi

centralnego ogrzewania i wodociągów, wraz z hydroforami w nowym gmachu wojewódzkim.

WARUNKI PRZYJĘCIA:

Pełne kwalifikacje ślusarskie, oraz przynajmniej 3-ch letnia praktyka przy instalacjach centralnego ogrzewania o niskiem ciśnieniu (wodnorurkowe). Nieprzekroczony 40 rok życia.

Do podania należy dołączyć:

1) Świadectwo wyzwolenia na ślusarza i świadectwa praktyki.
2) Metrykę urodzenia, ew. metryki urodzenia członków rodziny.
3) Świadectwa obywatelstwa polskiego i stosunku do służby wojskowej.
4) Świadectwa moralności i życiorys.

Do posady tej przywiązane jest wynagrodzenie grupy XI, wzgl. X. według ustawy z dnia 9 października 1923 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 166, poz. 924, wraz z 40% dodatkiem kresowym, oraz mieszkanie służbowe.

Podania wnosić należy do Śląskiego Urzędu Wojewódzkiego w terminie do dnia 20 czerwca 1929 r.

Za Wojewodę:

Naczelnik Wydziału

Dr. Saloni, m. p.

Śląski Urząd Wojewódzki — Wydział Skarbowy — w Katowicach ogłasza

KONKURS

na stanowiska:

1) Techniczne I kateg. w urzędach katastralnych
2) Techniczne II kateg. w urzędach katastralnych

Warunki przyjęcia:

a) Obywatelstwo polskie,
b) Nieprzekroczony 40 rok życia,
c) Nieskazitelna przeszłość,
d) Zdolność fizyczna do służby państwowej,
e) dla wymienionych pod 1) ukończenie wyższych studjów technicznych,
f) dla wymienionych pod 2) ukończenie studjów technicznych — dział miernictwa w jednej ze średnich szkół państwowych.

Wynagrodzenie na czas służby przygotowawczej będzie przyznane kandydatom wymienionym pod 1) w wysokości uposażenia służbowego grupy X, szczebla »a«, zaś kandydatom wymienionym pod 2) w wysokości uposażenia grupy XI, szczebla »a« unormowanego ustawą z dnia 9 X. 1923 r. (Dz. U. R. P. Nr 116, poz. 924).

Do podania należy dołączyć własnoręcznie napisany życiorys i dokumenty wyszczególnione pod *a)*, *b)*, *c)* i *e)* wzgl. *f)* w oryginale, względnie sądownie lub notarjalnie uwierzytelnionym odpisie.

Podania wraz z dokumentami należy przesyłać do Śląskiego Urzędu Wojewódzkiego — Wydziału Skarbowego w Katowicach.

Przy równych kwalifikacjach kandydaci, pochodzący z Województwa Śląskiego mają pierwszeństwo.

Wojewoda:

Dr. Grażyński m. p.



Pośrednia Grań w Tatrach.

Z ZAGRANICY.

— W Niemczech zmarł minister spraw zagranicznych, Stresemann, jeden z najwybitniejszych polityków powojennych.

— Królestwo Serbów, Chorwatów i Słoweńców (S. H. S.) zostało przemianowane przez rząd na królestwo Jugosławji i podzielone na 9 autonomicznych banatów.

— W Paryżu zmarł najsłynniejszy z żyjących obecnie rzeźbiarzy, Emil Bourdelle (68 lat), twórca m. in. odsłoniętego w tym roku w Paryżu pomnika Mickiewicza.

— Mussolini, który w swych rękach miał zarząd sześcioma ministerstwami, zrzekł się pięciu, zachowując sobie tylko ministerstwo spraw wewnętrznych oraz prezydjum Rady Ministrów.

— W Palestynie wybuchły walki między żydami i Arabami. Powodem bezpośrednim był spór o t. zw. mur płaczu. Arabi domagają się wstrzymania emigracji żydowskiej.

— Światowa statystyka trędowatych szacuje liczbę ich na 2,800.000 z tego na Chiny i Indje przypada 1 miljon chorych. W Europie najwięcej chorych posiadają kraje nadbałtyckie, gdzie Finlandja liczy 75, Estonja 210, Łotwa 226 i Hiszpanja 898 trędowatych. Jako lekarstwa przeciw trądowi należy wymienić wyciąg z rośliny hinduskiej, o ludowej nazwie Czolmugra (Hydnocarpus Kurzzi) oraz jodek potasu, który choremu na trąd się zastrzykuje. Lekarstwa te zwłaszcza w początkach choroby dają doskonałe rezultaty.

Zwracając się do Redakcji, pisz wyraźnie, tylko na jednej stronie i zostaw margines.

„Na Tropie“ wychodzi 15 każdego miesiąca.

Redakcja i Administracja: Katowice, ul. Mickiewicza 10. — Konto w P. K. O. 305.330

Oddziały Redakcji: Kraków, Szewska 12, I p. „Len“. — Warszawa, Chmielna 26, Tel. 402—33.

Cena numeru 50 groszy. Prenumerata dwumiesięczna 1·— zł., kwartalna 1·50 zł., półroczna 3·— zł., roczna 6·—